

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO” wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 30 za wiersz petitu. **NADEŚLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 5—5 po południu. Drobnymi rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

W przededniu uroczystości, przez K. R. Żywickiego.
Ani Greka ani Judejczyka, przez W. Wr-skiego.
Rozdźwięki: Ostatnie echo, przez Henryka Lukreca
Galicja płaci.
Podejrzana jednoczesność.

O feniksie (feljeton), przez Leona Choromańskiego.
Krytyka i sprawozdania. Tajfun, przez J. M. Muszkowskiego.

Wystawa Matejki, p. Wacława Huzarskiego.

E. Czirikow. U progu życia, przekład p. J. B.

Kronika.

Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. (ark. 71).

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.



Od Redakcji

Ażeby zadosyć uczynić wzrastającym potrzebom naszych czytelników, zamierzamy rozszerzyć dział naukowy i literacki w *Społeczeństwie*, jako też wprowadzić szereg ulepszeń technicznych.

W tym celu powołaliśmy dotychczas do *najbliższego* współpracownictwa pp.: **J. Wł. Dawida,**

Wacława Nałkowskiego, Ludwika Krzywickiego, Janusza Korezaka, Wacława Wróblewskiego, Henryka

Lukreca, J. M. Muszkowskiego.

Dokładna zapowiedź zamierzonych prac i szczegółowa lista stałych współpracowników zostanie ogłoszona we wrześniu r. b.



W PRZEDEDNIU UROCZYSTOŚCI.

A więc uroczysty obchód pogromu grunwaldzkiego!

Zmartwychwstaje z pozoru zawierucha owych stuleci: odezwały się głosy tak silne, jak gdyby wydoby-

wały się z pośród rodu orłów, co jak burza przewalał się po błoniu grunwaldzkim.

Wśród tego krzątania się, wielkich zapowiedzi, hymnów kalibru przeróżnego ściga mnie uparcie jak zmora obraz inny, zlewa się z obchodem i przeplata, aż niepodobna wyodrębnić tego co tam w wyobraźni splatało się i zrosło.

Obraz ów wtóry to ustępy końcowe „Wesela” Wyspiańskiego.

Gromada bezwładna, w której senność stłumiła iskierkę nawet świadomości, zmęczenie przetrawiło ślady wszelakie animuszu, a lenistwo — żądę czynu, obraca się bezmyślna w korowodzie. Chochlik psotny ją prowadzi, a w melodji przezeń wygrywanej dzwięczy nuta: miałeś, chamie, złoty róg, ostał ci się ino sznur!

Ostał ci się ino sznur!...

Tak, cały obchód jest jedynie rozszerzeniem tego widoku posępnego. Podczas uroczystości zostaną wygłoszone mowy, co będą chluby szukały w tem, iż był, iż istniał Grunwald; będą niewątpliwie i takie, co w przestrzeń rzucą zapewnienia o poczuciu siły i mocy: Ukażą się wśród pochodu sztandary prastare i inne symbole potęgi. Ale czuję, że żadna siła nie zdejmie z obchodu piętna stypy pogrzebowej, a z każdego szczegółu wydobywać się tam będzie, wydobywać się musi szydery, nielitościwy śmiech chochlika: miałeś, miałeś złoty róg!...

Ku podniesieniu serc obchodzimy wielką uroczystość!

Ku podniesieniu serc — czyich? To po pierwsze. A powtóre, czy serca tłumów dadzą się porwać przez takie stypy?

Polot myśli, tężyzna uczucia wypływają z ideałów piastowanych, te zaś tak samo jak owe kwiaty czarowne, które umiejętna ręka ogrodnika wyhodowała, czerpią pierwiastki życia swego i piękna z gleby najpospolitszej — z gleby interesów i potrzeb, dążeń i widnokręgów codziennych. Doba dzisiejsza wysunęła na przód warstwę pracującą jako dźwignię dziejową, co winna urzeczywistnić sny piękne, sny złote o przyszłości: o dobrobycie powszechnym, o prawie powszechnem do nauki i sztuki, o innym stosunku człowieka do człowieka. Zbyteczna jest tutaj czcza powódź frazesów, bo treści bogatej dostarcza ogrom zadania dziejowego, niepotrzebną a nawet szkodliwą jest demagogia, bo zamiast jasnego, trzeźwego sądu stwarza mgłę przed oczyma. Ku podniesieniu serc prowadzi pospolita świadomość celów pospołu z poczuciem, że życie codzienne w nieustającej a żywiołowej sprawie wylaniania nowych kształtów mnoży pierwiastki zwycięstwa. Ci którzy o ojczyźnie wciąż mówią, powinni o tem pamiętać, iż przyszłość spoczywa jedynie w ludzie pracującym. Serc jego nie podniosą stypy pogrzebowe, ani wspomnienia przeszłości, w której był wykluczony od uczestnictwa, a służył jedynie za mierzwę pod posiew czynów. Poetka każe mu wierzyć tylko tym, co zamiast urny z popiołami żywe niosą sztandary!

A może stypa grunwaldzka podniesie serca tych, co w pokorze całują w Berlinie but kirasjerski? Próżne złudzenia! Wybory świeże w Poznańskim, kiedy dał się poczuć słabiuchny powiew samodzielności „młodszych“ braci, przejął ich zgrozą. I dzisiaj jeszcze Słowacki mógłby postawić ich pod pręgierz: A ty drzysz, gdy z łona ludu wstanie twarz człowieka! Ci von'owie narodowości polskiej nie mają ani tyle ukochania ojczyzny, ażeby ją oprzeć na ludzie, ani nie nabędą godności na odgłosy melodji chochlikowej. Z faktów życia, z zadań dziejowych warstwy rodzi się animusz, co odzwyczaja od kłaniania się i czolobitnej w obliczu buta. A takich zadań nie wykrzesza warstwa, co znalazła wieszczka swego politycznego w von Kościelskim—Admiralskim.

* * *

... Z drogi, z drogi tej przeszłości
Co z zamierzchu, i z nicości
Cała krwawa
Zmartwychstawa!...

Krwawa przeszłość zmartwychstawa nie po to, ażeby w sercach pozostawić niekrwawy posiew uczucia humanitarnego. Wspomnienia te posiać mogą tylko to, czem same są przepojone: nienawiść względem całego innego szczepu, w której w czambuł jeden złączono grzesznika i niewinnego.

Nie! to nie są moje ideały.

I oto nad zgielkiem obchodu dłoń moja wyciąga się ku dłoni tych, co tam w Berlinie, na mównicy parlamentarnej i sejmowej, wystąpili przeciw gwałtom narodowościowym i uciskowi—ku dłoni Ledebura i Hoffmana.

K. R. Żywicki.

ANI GREKA ANI JUDEJCZYKA ...

Ostatecznie, we wniesionym przez rząd do ciał prawodawczych projekcie samorządu miejskiego dla Królestwa Polskiego podział na kurje narodowe został utrzymany.

Wielka i drobna burżuazja polska i żydowska, które wyłącznie korzystać będą z czynnego i biernego prawa wyborczego, rozbite zostaną w ten sposób na dwa odrębne ciała głosujące — z liczebnym, co do ilości radnych, pokrzywdzeniem ludności niechrześcijańskiej.

Będzie to miało dla obu odłamów tych — jednolitych pod względem poglądów społecznych i przyszłej polityki miejskiej — klas poważną niewygodę w okresie wyborczym.

Przy ordynacji bezkurjalnej, opartej na powszechnym i równym prawie głosowania, platforma wyborcza byłaby niezmiernie prosta zarówno dla burżuazji polskiej, jak i żydowskiej.

Za cały program, jak było to poniekąd przy wyborach do Dumy, starczyłoby wówczas hasło: „wybierajcie swoich!“

Nacjonałści polscy rostoczyliby przed wyborcami grozę „niebezpieczeństwa żydowskiego“, doszukując się w każdym kandydacie wyznania mojżeszowego „wroga wewnętrznego“, któremu nienawistne jest wszystko, co „polskie“.

Nacjonałści żydowscy, przeszliby do porządku nad nędzą milionowych rzesz chałatowców, wyzyskiwanych w tym samym stopniu przez kamieniczników chrześcijan, co i przez własnych współwyznawców — pozbawionych zarówno, jak i proletarjat rdzennie polski, tych wszelkich korzyści, jakie dawać może szeroko pojęta, demokratyczna gospodarka miejska, i skupiliby wszystkie siły ku przeprowadzeniu na radnych możliwie wielkiej liczby żydów dla ich pochodzenia plemiennego, ale nie dla ich programu polityki municypalnej.

Przy systemie kurjalnym, stan rzeczy będzie o wiele mniej dogodny dla demagogji nacjonalistycznej, i z konieczności każdy z kandydatów będzie musiał — pomimo znamienego dla burżuazji wstrętu do zasad i programów — zająć określoną platformę.

Że wyjdzie tu na jaw cała nicość wielko—i drobno-mieszczanckich poglądów na podstawowe zagadnienia polityki miejskiej, że — pozbawiona listka „patriotycznego“ — obnaży się cynicznie egoistyczność klasowa burżuazji tak polskiej, jak i żydowskiej, będzie to już koniecznością smutną dla niej, ale pouczającą dla tej części jednolitego w swej doli proletariatu polsko-żydowskiego, która — niedostatecznie jeszcze uświadomiona i rozumiejąca przyczyny istotnego stanu rzeczy — kroczy w ogonie drobnomieszczanstwa, obalamucona przez frazes nacjonalistyczny.

Zdemaskowanie się więc w okresie wyborczym tożsamej duchowo burżuazji polsko-żydowskiej jest pewne, a za skutek dodatni będzie miało posunięcie się społeczeństwa całego o jeden krok naprzód w kierunku uświadomienia klasowego i zrozumienia bliźniaczości wszelkich szowinizmów.

Dalsza demaskarada — bardziej tylko jeszcze ja-skrawa — nastąpi w sali przyszłej rady miejskiej.

Tam, przy konkretnej robocie, przy układaniu budżetu, przy wyszukiwaniu dróg i środków finansowych, przy omawianiu spraw, związanych z oświatą, szpitalnictwem i t. d., ujawnią się w całej pełni najtaj-niejsze powinowactwa, zapanują małżeństwa z wyboru.

W imię wspólnego dobra, dla obrony wspólnego stanu posiadania zgodnie w jedno koryto zleją się skłócone dziś na powierzchni żywioty, których nurty naj-głębsze i teraz wykazują dla oka bardziej przenikliwego dziwną tożsamość.

Bourgeois-chrześcijanin na jednej zasiądzie ławie z *bourgeois*-starozakonnym, p. — ski głosować będzie z podobnemi sobie wydlawcami komornego p.p. — sohnem i — goldem, a rzeźnicy obojga wyznań krajowych radzić będą nad środkami, utrzymującemi drożyznę mięsa.

W małym rozmiarze zapanuje *Civitas Dei*, gdzie nie będzie greka ani judejczyka, tylko kamienicznik i lichwiarz mięsny, błogosławiony przez interes klasowy.

A tego królestwa zgody i pojednania nie zamąci żaden głos fałszywy, gdyż dzięki oktrojowanemu prawu wyborczemu nie wejdzie do rady miejskiej ani jeden przedstawiciel, rzecznik i obrońca najszerzych warstw społecznych.

W. Wr—ski.

Rozdźwięki.

OSTATNIE ECHO.

Niedawno w Warszawie rozegrano dwie burzliwe partje literackie. Powody do gry były na pozór niezbyt ważne. Ot, paszkwil, który na kształt dziritu śmignął w zgęszczonym powietrzu literackiego towarzystwa *business-man*ów i wywołał w swych skutkach burzę w szklance wody. Tryumf konkursowy niezgrabnego utworu scenicznego jak czerwony kogut wznosił się nad literacką Warszawą i wzniecił ponownie zarzewie wśród niezależnych od klikki żywioty. Zużyto nagromadzoną energję, i znów spokój. Gdyby nie czasy pogrobowe i okres upadku kultury umysłowej — z taktów takich, mających jednak głębsze podłoże, niż to się na pozór wydaje, wynikłaby walka zasadnicza między realistycznym „klasycyzmem” sfer panujących i zrewoltowanym „romantyzmem” młodego żywiołu literackiego. Zatarg z gruntu jałowego przeniósłby się na szeroki teren odmiennych światopoglądów w sztuce i literaturze. Wiązka artykułów polemicznych, wrzucana do izby bardów literackich, miałaby wówczas szersze znaczenie, ogarnęłaby koła inteligentnej publiczności, stojącej po za ogrodzeniem piszących — i starcie dwóch prądów przybrałoby cechy społeczne. Tak by się stało, gdyby nie było tak, jak jest. A dziś trzebaby Swifta, Heinego, czy Wedekinda, żeby wysmiać rzeszę naszych panujących „ludzi piśmiennych”, wyszydzić ich lot przyziemny i wrodzone maniery, i śmiechem wrzącej młodości zagłuszyć, uciszyć gderanie oburzonych i kręcących nosem „pelikanów” sparaliżowanych duchowo lub dobrowolnie paraliżujących się w *Świecie*, *Kurjerze Warszawskim*, *Biesiadzie*

Literackiej i innych „zdychających” stawach. Lecz dziś stosowanie heinowskiej giętkiej i błyszczącej klingi słownej jest przedwczesne, lub jak kto chce — w bieżącej epoce — spóźnione. Zjadliwe szyderstwo Swifta, obejmujące głębokie i subtelne przeżycia świata istotnie kulturalnego — dla czytającej Warszawy, objadającej się dziś reporterską strawą Mulfordów — jest zbyt gryzącym niebezpiecznym pokarmem, jak mikstura nie w porę zażyta. Lotna i powiewna ironja Wedekinda, będąca wyrazem artystycznego buntu przeciw światu burżuazyjnemu, — zbyt wyraźnie zwiastuje rewolucję w sferze wartości estetycznych — by panowie Rabscy i ich zwolennicy mogli choć na chwilę poddać się jej urokowi. Gdyby dziś na bruku warszawskim urodzili się tacy pamfleciści jak Lorrain, Mirbeau, Swift, pracowali i tworzyli w czasie, kiedy o powodzeniu utworów artystycznych decydują recenzje w *Kurjerze Warszawskim*, gdyby ośmielili się w obecnej, klasycznej dobie panowania „businessów” literackich wziąć na zęby sędziów samowolnych z Towarzystwa i sędziów konkursowych z Kurjera, i gdyby wreszcie, o zgrozo nieograniczona, kusili się o skruszenie naszej nieśmiertelnej koterji naszych akademików i rutynistów z Towarzystwa Dzień i Literatów i Kasy Mianowskiego, z pewnością umarliby bez jęku w panującej opinii warszawskiej, umarliby bez sławy i w „stanie ubogim”, nie mając nawet odświętnego ubrania do trumny, a w najlepszym razie, by źle nie wspominali w życiu pozagrobowym o możnych katonach literackich — dostaliby w chwili zgonu łaskawe sto rubli do ręki na swój własny pogrzeb, skromny i cichy, jak przystało na warszawskich męczenników pióra. Lecz pocóż nam śmierć fizyczna cudzoziemców! Nie jeden z naszych młodych orłów pisarskich kipiących wrzącym szałem młodości, rozpoczynający pierwsze wzloty na szczytach *Głosu* zataczał później w poszukiwaniu chleba olbrzymie półkole i spadał na żer w niziny Kurjera Warszawskiego, gdzie wkrótce ponosił dobrowolną śmierć umysłową. Opuszczali piekło powstania literackiego na lewicy, by spocząć na marach intelektualnych w państwie oschłej rutyny, rządzącej smakiem artystycznym czytającej publiczności. Wtedy te głośne starcia dwóch światów literackich były wyraźnym prologiem walk ideologicznych, mających swe źródło w życiu politycznym i społecznym doby ówczesnej. Dziś starcia te ustały i zcichły wraz z upadkiem dążącej wolnościowych. Ostatnie wystąpienia przeciw instytucjom panującym ujawniły mocną podstawę tych samych żywioty „klasycznie” konserwatywnych, które z szlachetną furją atakował „romantyzm” literacki przed rokiem 1905. Zachodzi dziś jednak pewna różnica w dekoracji. Usymbolizowany Połaniecki, odarty ze swych kompromitujących perkalików, w innej szacie wieńczy obecnie koronę głów naszych nieśmiertelnych. Na szczycie filisterji warszawskiej stanął „Pan od literatury” i „Pan od teatru”. Ci panowie uosabiają dziś smak artystyczny Warszawy, oni decydują o talencie piszących i oni mierzą wartości twórcze już nie łokciem od perkalików, lecz drążkiem od biało-niebieskiej chorągwi naszej burżuazji i arystokracji, zbratanych przez koligacje i domy bankierskie. Panowie ci rozgościli się w salonach (to rzecz naturalna) i rozwieliżnili się w Towarzystwach, czyniwszy z tych ostatnich ostoje swej władzy i wpływów. Siermierka z Zarządem Tow. Lit. i Dzień, obcho-dząca jedynie koła piszących, ma wszelkie cechy pracy syzyfowej. Należy rozpocząć walkę u podstaw. Godząc w panujący prąd w piśmiennictwie, któremu hołduje nasza filisterja akademicka, poddając krytyce jej upodobania estetyczne, wciąga się tą drogą w orbitę starć teoretycznych szersze koła społeczne, które sąd o twórczości powierzają z czasem innym, bardziej niezależnym akademjom opinji artystycznej.

Henryk Lukrec.

GALICJA PŁACI.

Zarówno w Rosji i Prusach, jak w Austrii, jedynym „usprawiedliwieniem“ dla lojalizmu rządowego, który z takim zapalem uprawiany jest przez burżuazję polską, uosobioną w Kołach parlamentarnych, były poważne korzyści ekonomiczne, zdobywane chociażby tylko dla tejże samej burżuazji polityką ugody.

Ale i tem przedpokojowcy nasi poszczycić się nie mogą.

Pomimo uchwalania budżetu, rekruta, agrarnego prawa listopadowego przez Koło petersburskie, Królestwo Polskie ponosić ma dalej najcięższe opłaty podatkowe ze wszystkich krajów, wchodzących w skład państwa rosyjskiego.

„Lizanie buta kirasjerskiego“ w Prusach rozzuchwala tylko politykę Komisji kolonizacyjnej, zwięzającej w Poznańskiem coraz bardziej polski stan posiadania.

W Austrii tylko co oświadczone Koło wiedeńskiemu, „ze ustawa kanałowa“, uchwalona i sankcjonowana przed laty blisko dziesięciu, zostaje przekreślona.

Z kanału Dunaj-Odra-Wiśła, z ogromnej drogi wodnej od Wiednia aż do Krakowa, Przemyśla i jeszcze dalej na wschód, z tężnicy, która miała ożywić całą Galicję, wlać nową krew w jej wątły przemysł i mające przed sobą ogromną przyszłość górnictwo,— nie będzie nic.

Nie będzie dlatego, że monarchji trzeba środków na nowe zbrojenie się, a środków tych nie zgodzi się dostarczyć żaden kraj austriacki, z wyjątkiem Galicji—tej Grecji habsburskiej, która zawsze płaci.

Kto wie, ile obiecywano sobie po „ustawie kanałowej“, jak zawodowi politycy galicyjscy przez długie dziesięć lat chełpili się tą „zdobyczą“ gospodarczą, ile mandatów z wdzięczności za nią utrzymali przy 'sobie, mógłby myśleć że Koło wiedeńskie musiało w końcu stracić cierpliwość i założyło stanowcze „nie pozwalam“ przeciwko bezceremonjalności rządu i intrygom przemysłowców czeskich, śląskich i niemiecko-austriackich, dla których podniesienie się dzięki kanałowi przemysłu i górnictwa galicyjskiego byłoby zgola nie na rękę.

Ale domniemanie to byłoby zupełnie fałszywe.

Koło polskie nie zdradziło swego hasła: „Przy tobie stoimy i stać chcemy“ i po oświadczeniu, że kanałów nie będzie, głosowało za budżetem.

Wzięcie na siebie lwiej części nowych zbrojeń i zapewnienie dalszej hegemonji przemysłowcom czeskim i niemieckim na rynku galicyjskim jest godnem *pendant* austriackiem do podwyższenia listy cywilnej króla pruskiego.

PODEJRZANA JEDNOCZESNOŚĆ.

Ogłoszone przez „Kurjer Warszawski“ rewelacje b. szpiega pruskiego, skierowane przeciwko ukraińcom, nie znalazły wiary u żadnego ze stronnictw galicyjskich.

Niewyraźnie tylko zachowała się prasa narodowo-demokratyczna.

Ale ciekawe jest też, dlaczego rewelacje te, mające raz na zawsze skompromitować tak w oczach świata cywilizowanego, jak i rządu austriackiego narodowo-demokratyczny ruch ukraiński, pojawiły się właśnie w chwili najostrejszego przesilenia w galicyjskim obozie endeckim, — przesilenia, wywołanego przez złagodzenie u niektórych przewodców stronnictwa tonu wobec ukraińców pod wpływem „ukrainofilstwa“ rządu wiedeńskiego i krajowego.

Czyżby między pojawieniem się rewelacji Rakowskiego a przesileniem w łonie endecji galicyjskiej

zachodził inny jakiś stosunek, aniżeli tylko stosunek jednoczesności?

Byłoby to jeszcze jednym dowodem przeciw wiarogodności skruszonego prowokatora.

Ww.

O FENIKSIE I SPRAWACH POKREWNYCH.

Po za ładami, po za morzami jest kraina fioletowego przesytu, jest wyspa pełna niskich płaskowzgórzy i strumieni mętnych, bulgoczących posępnie. Kraj ten ma tę stronę przedziwną, że niema tam feministek, albo ściślej: niema wcale ludzi... dzięki czemu geografowie nie umieścili jeszcze tej wyspy na swych mapach, a nemrodowie nie pudłują na tych płaskowzgórzach i nie przechwalają się siarczyście. Skłamałbym jednak, gdybym utrzymywał, że tam niema nikogo.

Przeciwnie, żyją tam smętne ptaki feniksy—wielkości jędora, a z upierzeniem kolibrów. Ptaki nieco ociężałe, lecz bardzo ochędożne. Zrywają się do lotu tylko wtedy, gdy przebyć trzeba strumyk błotnisty, nie chcą bowiem zabłocić swych nówek amarantowych.

— A czy jest tam roślinność?—pyta piękna czytelniczka.

— A naturalnie, że jest, proszę pani... Roślinność bujna z kwiatami wielkości przeróżnych, poczawszy od naparstka, a skończywszy na baljil (Purpurą śmieją się kwiaty, topazem i ametystem!). I jeszcze jedna właściwość tej wyspy cudownej: niema tam wcale wiatru, a słońce po dniu najpiękniejszym kona okropnie gorzko, płacze krwawo, jak gdyby żegnało się z tą wyspą na wieki.

Wtedy cudnie upierzone feniksy stają długim, smętym szeregiem i również zalewają się łzami... Ba, omal nie zapomniałem dodać, że ów ptak feniks jest nieśmiertelny i skutkiem tego bardzo skłonny do melancholji, gdyż, prawdę mówiąc, wyspa sprzykrzyła mu się nadzwyczajnie, bo ostatecznie: co robić na tej smętnej ziemi?

Drepczą sobie ptaki po osypiskach i połykają czerwono nakrapiane kwiaty, bowiem żywią się one kwiatami.

A kiedy mają już pełne żołądki składają, smętnie głowę w miękkie pierze i, podniósłszy jedną nóżkę amarantową, drzemią na skwarze i cichutko marzą o wiatrach, które wód marszczą powierzchnię. Eheul Eheul gdzie są te czasy! te wieki odległe, miodem i mlekiem płynące, gdy ptak feniks miał inną ojczyznę! kiedy nie był nieśmiertelny, lecz kochał! O miłości, miłości, czemuś nas odbiegła? Nieśmiertelność mamy i wieczystą pustkę istnienia! Tak feniksy roją w swych ptasich mózdkach! Ale czasem cała wyspa rozbrzmiewa gongiem radosnym ptaków: ajul! ajul!

A cóż się takiego stało?

Oto jedna feniks-dama zniosła jaje, jaje pięknie nakrapiane i cudowny zapal ogarnął prześwietny ród feni.

Ileż prześlicznych nadziei wiążą z jajem! Oto wyrośnie z niego pokolenie nowe, cudowne, dzielne pokolenie, które zazna misterjum miłości i lotem zdobywczym precz uleci z tej krainy! A po dziewięciu miesiącach, wysiadywania i chuchania, rodzi się z tego jaja bieluchne ludzkie niemowlę. A wtedy matka (o, podziwajcie serce macierzyńskie!) roztacza nad niem skrzydła, jak tęcze stubarwne, aby uchronić je od spieki i dziobem, upojnym dumą niebotyczną, gęga: ajul! ajul! (Ach, ileż uczuć tkliwych kładzie ona w ten okrzyk

prosty, a tak niesłychany!) Karmi je ptasim mlekiem i z zachwytem wpatruje się swych oczu karbunkulem w to dziwo wątle, słodkie i różowe. Lecz dnia ósmego, niestety—nad wieczorem, gdy słońce kona krwawo, z po za wschodu rozkwita jasność przezczysta i staje na wyspie anioł ze śnieżnymi skrzydłami, z mieczem ognistym w prawicy i mówi:

— Feniksy! Ludzkie niemowlę oddajcie ludziom...

Płacz żaloszny tym słowom towarzyszy i feniksy nagłe na chwilę stają się wymowne, pytają ptasim językiem:—Aniele, wysłańcze Boga nieznanego, powiedz, dla czego my jesteśmy nieśmiertelni? Dlaczego miłość zabrał nam Stworzyciel, dlaczego wyspa ta smętna jest naszą ojczyzną? Powiedz... Ukróć nasze męki... Lecz anioł smutny staje się i milczy. Gaśnie srebrzysty blask skrzydeł i zwolna, jak popiół szary stapia się z wieczorem.

Na dzień następny feniksy zwołują ogromne walne ptactwa zgromadzenie, gdzie rozstrzygnięta ma być ważna kwestja, czy bobo ma być oddane, czy nie ma? Burzliwy bywa ten wiec i zażarty, lecz w końcu zawsze ogromną większością staje uchwała, że z wolą Niebiosów ptakom rozsądnym pogodzić się trzeba. Ledwie zapadła decyzja, już leci żeglarny poseł rodzeń—bocian chyży, zniża się zwolna i bobo płaczące, powtarzające nieustannie: aj! (bo się od matki tego nauczył!) sadowią feniksy na bocianim grzbiecie, rączyny jego zaplatają dokoła szyi ptaka, który cicho majestatycznie w górę się unosi... A kiedy matka tarzra się po piasku i jęczy: Gdzież mój ukochany aj!—bocian maleństwo niesie w kraj sarmatów...

Rzecz prosta,
 Że rozsądna rodzina mieszczańska,
 Zaniepokojona bywa, iż niemowlę,
 Które jak inne przyniośł przecież bocian,
 Jest jakieś inne, a kiedy dorasta,
 Zaczyna zdradzać chorobę chroniczną,
 Poetycznością zwaną: przesiaduje
 W ciemnym pokoju, na gwiazdy spogląda,
 Czuje tęsknotę, niezadowolenie,
 Czasami zbytnią gadatliwość, to znów
 Milczenie kocha, albo zgoła inne
 Objawy zdradza niemniej fantastyczne.
 Naprzykład, wietrzy niebezpieczeństwo
 Wszędzie albo uznaje uparcie,
 Że kraj jest w takim smętnem położeniu,
 Iż trzeba ciągle mieć nos zaplakany.
 Albo, jeżeli się wreszcie zakocha,
 Zaczyna pisać poemat i trąbić
 Na cały wszechświat, że go miłość spala,
 Że go ten ogień niebiański pożera,
 Że wątle ciało nie znieśie tej męki
 I że już wkrótce wyciągnie kopyta!
 O, gdybyście wiedzieli—wrzeszczy smętnie,
 Jak cudna ona, a jaka nieczuła!
 Nie, takiej jeszcze na ziemi nie było,
 Obojętnością jej rażon—umieram!
 (Zyje jednakże i koniaki spija!)
 Czasem, spotkawszy swego przyjaciela,
 Człek obdarzony bijną wyobraźnią
 Zwierza się przed nim:—Ach, co ja mam robić!
 Wszystkie kobiety we mnie się kochają,
 Wprost się opędzić nie mogę tej czerni!
 Tak, obyczaje ma nieco dziwaczne:
 Analizuje i tęskni do głębi,
 (Czego zazwyczaj brak mu nieco bywa),
 Wciąż mu się dawna ojczyzna przyśniwa,
 Lecz zamiastaju—aj! aj! często jęczy.
 I tak obnosi duszę w ciężkim kirze
 Po „Udziałowej“ i innych kawiarniach.
 Aż wreszcie chluba narodu zostaje,

Staje się tabu zgoła nietykalnem,
 Krytycy prawią o nim jak na mękach,
 Widzą w nim same szczytności i głębie,
 Czemu się dziwić trudno, bo to przecie
 Coś pokrewnego jest pomiędzy głąbem
 A głębią i, niestety, aż zbyt często
 Jedno odróżnić trudno od drugiego!
 A czas uchodzi! I nareszcie pewna
 Godziwa dama konkursik funduje,
 Setki poetów stają do konkursu,
 A kiedy wreszcie został rozstrzygnięty
 Zewsząd szlochania słycać i przekleństwa!
 Drapując siebie w płaszczce heroiczne
 Z górnolotnemi frazesy tłum wieszczów
 Zaczyna toczyć batalję na pióra
 I nawołuje ludzkość do reformy!
 Bawcie się dziatki! Niech wam szczęście sprzyja,
 Co do mnie takie żywię przekonanie,
 Które, jak sądzę, wszystkim się spodoba:
 Jeżeli konkurs czasem się nie uda
 I nie przysporzy arcydzieł krajowi,
 Nie sędzię winni ani autorzy,
 Ale poprostu jaje, które feniks
 Nie zawsze znosi w przedziwnym gatunku!

Leon Choromański.

KRYTYKA i SPRAWOZDANIA.

T A I F U N.

I.

Staruszka Europa leży na kozetce w swym buduarze. Zniszczona, poprzężynana zmarszczkami jej cera wygląda zdrowo i świeżo pod grubą warstwą najprzedniejszych kosmetyków; głębokie, niegdys pełne wyrazu, a teraz mgłą znużenia powleczone oczy błyszczą sztucznym ogniem rozszerzonych przez atropinę źrenic; głowę jej, otoczoną niedawno jeszcze złotą aureolą przepysznych włosów, pokrywają zręcznie dobrane i misternie upięte loki—od fryzjera. Majestatyczne jej kształty, które znajdowały przed laty tyłu wielbicieli, utraciły giętkość i siłę młodości, ale jeszcze wyglądają wspaniale w oprawie wytwornej, wyrafinowanej modnej toalety.

Buduar urządony jest z całym komfortem, na jaki stać szanowną staruszkę, rozporządzającą olbrzymim majątkiem, zebrany z pracy pokoleń. Ma na swe usługi całą armję najwybitniejszych techników, którzy trują się dzień i noc nad sposobami ulepszenia i uprzyjemnienia jej życia. Ma zastęp uczonych i myślicieli, którzy uważają za swój najświętszy obowiązek zapełniać jej szafki biblioteczne (w stylu amerykańskim) owocami swej wytrwałej pracy. Ma poetów i literatów, którzy dla niej tylko tworzą. Ma muzyków—kompozytorów i wykonawców—którzy uważają sobie za szczęście napełniać jej dom najśłodszy dźwiękami.

A jednak Europa nie czuje się dobrze. Nudzi się trochę i trochę tęskni. Sterty całe dzienników, przywożonych codziennie przez pocztę, zawierają takie mnóstwo nowości, że wcale nie można ich wszystkich przeczytać. Wybiera się więc tylko najważniejsze. Ale te znowu są tak obrzydliwie jednostajne: *Straszna katastrofa. Wielki strejk. Olbrzymia defraudacja. Ohydny mord. Zmiana gabinetu. Znakomita operetka. Ge-*

njalna tancerka. Stan wojenny. Bulla papieska. Zjazd wszechsłowiński. Konferencja pokoju. Kongres wszechniemców. Nagroda Nobla. Nowe dreadnoughty. Ciągłe w kółko to samo.

Więc wiadomości te nudzą Europę i tęskni za czemś nowem. To też leży sobie w swym wykwintnym buduarze, zdenerwowana i smutna, i zawiesza pajęczyny swych marzeń w nieskończonej przestrzeni pomiędzy niebem i ziemią. Czasem zainteresuje ją coś na chwilę, uśmiech ożywienia rozchyli jej wargi—na złudne mgnienie oka. Zaraz przekonywa się bowiem, że coś podobnego było już w przeszłości, że to co wydawało się nowością, jest tylko zręcznym przemianowaniem faktów dawno już znanych. Nic jej nie zajmuje, traci ochotę do życia.

Wezwani lekarze pokiwali smętnie głowami i orzekli: „Neurastenja“. Wybudowali setki sanatorjów, urządzili mnóstwo miejsc kuracyjnych, wymyślili tysiące metod leczniczych. Ale to wszystko nic nie pomaga.

Europa leży w wykwintnym buduarze, nudzi się trochę i trochę tęskni...

II.

Drzwi buduaru uchyliły się lekko, otwarte z zewnątrz dyskretną dłonią, przez szparę wsunęła się do pokoju głowa o ciemnej cerze, pokryta krótko przyszyżonym włosiem; z pod okularów w złotej oprawie błyskają małe, wąskie oczy, bystre i inteligentne.

— Kto tam?—pyta Europa niechętnie.

— Tokeramó*), Japończyk—odpowiada gość dobrą francuzczyzną.

— Czego pan sobie życzy?—staruszka ożywia się nieco.

— Chciałem panią prosić o pozwolenie na zbadanie urządzeń domu pani.

— W jakim celu? —(Także amator!—myśli sobie Europa).

— Widzi pani, my, Japończycy, pragnęlibyśmy zaprowadzić u siebie kulturę europejską, gdyż cenimy jej wyższość ponad przedawnione już własne tradycje cywilizacyjne.

— Bardzo mi miło! nie mam nic przeciwko temu. Bądź pan jak u siebie w domu.

I Japończyk, korzystając z pozwolenia, poczyną szperać po wszystkich zakamarkach tego bądź co bądź wybornie zagospodarowanego domu, rozpytując ciekawie o wszystkie nowe dla siebie szczegóły. Europa dostarcza mu wszelkich informacji przez swych profesorów i urzędników, a on notuje je skrzętnie i posyła do dalekiej ojczyzny.

Spostrzegłszy wkrótce, iż sam jeden nie podoła ogromowi pracy, sprowadza sobie pomocników, specjalistów w różnych dziedzinach wiedzy, i wraz z nimi bada ustroj państwowy, prawodawstwo, militarizm, instytucje społeczne i usiłuje osiąść na własność wszystkie zdobycze kultury europejskiej. Zdobycze te, na które potrzeba było długich lat i natężonych wysiłków pokoleń, przyjmują się w Japoni natychmiast. Każdy wynalazek w dziedzinie techniki, każdy pomysł europejski, ulepszany nieraz kosztem setek ofiar, Japończycy chwytają w lot, doprowadzają do stopnia wysokiej doskonałości i odrazu wcielają w czyn. Stanowią tę rzadko napotykaną kategorię uczniów, obdarzonych genialnymi zdolnościami i żelazną wytrzymałością, którzy zawsze przewyższą swych nauczycieli. Ale czy nie zechcą, nauczysz się wszystkiego, „die Lehrer zur Tür hinausprügeln“?..

Nieodrodne potomstwo matki-Europy, które nudzi się trochę a trochę tęskni, patrząc w zdumieniu na to zażarte połykanie wiedzy i błyskawiczne stoso-

wanie jej wyników do życia, podzieliło się na dwa obozy. Ogół zatrwożył się. Przeraza go niesłychana obrotność i energia tych małych, zwinnych ludzi, a że zaś słyszał coś piąte przez dziesiąte o przeludnieniu, panującym na wschodzie, obawia się „żółtego zalewu.“ Szczególnie prasa i publiczność niemiecka odzywała się z niechęcią a nawet z pogardą o tych żółtych „azjatach“ (co nie przeszkadzało jednak rządowi śłać do Japoni instruktorów wojskowych).

Natomiast ci nieliczni, którzy *bardziej* się nudzą w obrzydłej jednostajności naszego szarego życia, a *intensywniej* tęsknią do zmian zasadniczych — ci patrzyli z przyjaznym zaciekawieniem na olbrzymie postępy Japończyków na drodze kultury. Wyrazem tego poglądu był słynny swego czasu artykuł Anatola France'a „Le peril blanc.“

(d. n.)

J. M. Muszkowski.

WYSTAWA MATEJKI.

Gdyby o polskiej sztuce można było mówić tak, jak się mówi o sztuce innych narodów, — powiedziałbym, że Matejko był dobrym akademikiem, wykształconym na mistrzach baroku — Veronezie przeważnie i Rubensie, — że odznaczał się może żywszym nieco i bogatszym, niż u innych akademików, temperamentem, że przeto linja jego dosyć jest wyczuła i obfita, zato kompozycja — poplątana i przeladowana; zresztą, jak wszyscy akademicy i rutyniści, do sztuki niewiele nowego wniósł i do jej rozwoju niebardzo się przyczynił.

Ale u nas takie są warunki życia, że literatura i sztuka muszą się zajmować rzeczami, właściwie poza sztuką i literaturą stojącymi. Z tego to powodu Matejko sam siebie, i my wszyscy uważamy Matejkę nie-tylko za malarza.

Wystawiony obecnie w Zachęcie cykl dwunastu obrazów nosi tytuł „Dzieje cywilizacji w Polsce“. Obrazy te, malowane pod koniec życia krakowskiego mistrza, z malarskiego punktu widzenia do słabszych dzieł artysty należą. Znadto już w nich czuć, że nie o malarski, ale o historyczny, czy polityczny temat chodziło artyście, czuć, że są woli, nie odczucia dziełem.

Z tego właśnie historyczno-politycznego punktu widzenia chcę spojrzeć na te obrazy.

Mają to być dzieje Kultury polskiej. Zgodnie z tem założeniem — tematy dwunastu tych obrazów przedstawiają najważniejsze chwile historii Polski. Tak się ma rzecz z tematami. Ale czy malarskie, a chociażby historyczne ujęcie tych tematów mówi nam cośkolwiek o polskiej Kulturze?

W dwóch tylko obrazach użył Matejko za tło krajobrazów. Na pierwszym, mianowicie, malowidle sprawa dzieje się o wschodzie słońca, gdzieś, zdaje się, pod Kruszwicą. W tym brzydkim i zdawkowym krajobrazie niema nic z polskiej przyrody. Jest to suche wypracowanie na temat: „pierwotna Polska była lesista i błotna“.

W obrazie, chrzest Litwy przedstawiającym, pejzaż tak jest charakteru pozbawiony, że z pewnością nie tylko Litwy, ale wogóle żadnego kraju nie przypomina.

Większość pozostałych obrazów tłem ma architektury. Historycznie możliwe, t. j. mające styl danej epoki, ale w naszym kraju kamienne budowle, zwłaszcza pierwszych kilku obrazów, są mało prawdopodobne, a w każdym razie zupełnie nie syntetyzują charakteru budownictwa w Polsce, którą jeszcze Kazimierz Wielki zastał „drewnianą“.

Pozostaje charakterystyka osób, działających

*) Bohater dramatu „Taifun“ Melchiora Lengyel'a. Frankfurt n. M. 1910.

w tym dramacie dziejowym. — Zbyt tęgim był Matejko historykiem, żeby można było naprawdę coś zarzucić tym jego postaciom, które z portretów i dokumentów malował. Jednak trudno zgodzić się na Matejkowską wizję trzech pierwszych wieków polskiej historii. Matejkowski Chrobry i jego dwór tak ściśle naśladował Europę, jakby żyli nie w początkach XI-go, ale w XV-tym, conajmniej wieku. Kto zna Wyspiańskiego szkice do wystawienia Bolesława Śmiałego, ten wie, z jakim prawdopodobieństwem, jak świetnie można sobie wyobrazić pierwotne dzieje nawpół dzikiego narodu, jeżeli do tej wizji pomaga wczucie się, — i prawdziwa znajomość tego, co się u nas z przedwieków zachowało. Ale Matejko ani był poetą, ani nawet — prawdziwym malarzem; był, przedewszystkiem, bardzo tendencyjnym historykiem. — Ta jego tendencja, w założeniu szlachetna może, nie wiem, czy najlepsze wydała owoce. Przez fałszywy patriotyzm chciał Matejko współczesnym i potomnym dowieść, że Polska była bezgranicznie wielka — i banalna. W tym celu umyślnie przeistaczał ducha historii narodowej; w wystawionym obecnie cyklu obrazów dał wizję, przypominając raczej historję winem płynącą Italji, niżeli nasze cudowne, jedyne w swoim rodzaju, pełne zagadkowych nierówności i zgrzytów, a tragiczne w swym przebiegu dzieje.

Matejko narzucił nam wizję wielkich chwil dziejowych, która jest często nieprawdopodobna; ale tego trudno dowieść; łatwiej dowieść, według dokumentów, że jego portrety historyczne, dociągał do swej historycznej wizji, banalizując częstokroć najwspanialsze postacie i sylwety, żeby z Polski zrobić coś w rodzaju Wenecji w dobie rozkwitu. Wystarczy porównać Czartoryskiego, Staszica na starych portretach z tem, co z nich uczynił Matejko w ostatnim z dwunastu obrazów.

Dzisiaj już Matejko zdaje się rzeczywiście żadnego wpływu nie mieć na polską sztukę. Staral się Wyspiański czasem wydobyć coś z Matejkowskiej żywej nerwowej linii. Ale poza Wyspiańskim, a po trosze Mehofferem — żaden już dziś chyba artysta na Matejkę się nie ogląda. Nic dziwnego. W czasach, kiedy na Słowackiego i Mickiewicza genialnej historjozofji się opierając, współcześni poeci tworzą pyszne, przeczone i wyśnione wizje dawnej Polski — czem może zaciekawić ten malarz zdawkowych dziejów zdawkowej wielkości jakiegoś narodu, o którym nazwy obrazów wierzyć każą, że jest polskim narodem.

Ma Matejko dwa tytuły do naszego szacunku. Przedewszystkiem była to potężna wola twórcza — drugiej takiej twórczej potęgi jużesmy w malarstwie nie mieli. Poza tem — szczerze umiłował Polskę; — ale w obrazach swoich przemawiał do nas nie jako malarz, lecz jako tendencyjny historyk.

Wacław Huzarski.

E. CZIRIKOW.

U PROGU ŻYCIA.

(dokończenie).

— Gdzie jest Aliosza? — pytał gniewnie.

— Siedzi w więzieniu, — odpowiadał szeptem za policjantów.

— Tak?! w więzieniu? Wypuścić go natychmiast! Słyszycie?

— Nie wypuścimy...

— Pytam po raz ostatni! Wypuściecie?

— Nie.

— Nie?

— Nie...

— To macie! macie! macie!..

I żołnierzyki rozsypywali się we wszystkie strony pod uderzeniem szabli.

Jeden z żołnierzyków z czarnymi wąsami był u Wani specjalnie notowany: był to *ten sam, z wąsami*, który zabrał Alioszę. Tego żołnierzyka podnosił Wania z podłogi i rozprawiał się z nim oddzielnie.

— Cnodź no tutaj!.. Aha!.. Do więzienia!

Więzienie było w czarnym pudełku od zabawek i tam wrzucił Wania owego żołnierzyka z wąsami.

— Dobrze ci? — pytał Wania, zaglądając przez wycięte okienko. — Nudno ci? Aha! A Alioszy, myślisz, wesoło?..

W starym albumie była fotografia Alioszy: była to fotografia jeszcze z gimnazjalnych czasów. Wania wyciągnął tę fotografię z albumu i ona zastępowała mu samego Alioszę. Aliosza siedział także w pudełku, i gdy dostawał się tam żołnierzyk z wąsami, zaczynał płakać i prosić Alioszę o przebaczenie.

— Proś Wanie!.. Ja nie mogę... Jak Wania będzie chciał, tak będzie! — mówił Aliosza. Potem Wania wyjmował Alioszę z więzienia całował go i kładł go pod poduszkę.

— Może wypuścisz go, Wania? — prosił Aliosza.

— Jego? Jeszcze czego!..

Pod łóżkiem było urządzone piekło. I djabeł też był zrobiony: połamana małpa, która dawniej chodziła po sznurze, przedzierżnęła się teraz w djabła i siedziała przy nodze łóżka, rozkraczywszy szeroko nogi.

— Idź do piekła! do djabła!.. I wy wszyscy! wszyscy! wszyscy!

Wania zsuwał nogą porzrzucanych po podłodze żołnierzyków i rzucił ich pod łóżko.

Podczas tych zabaw zapominał Wania o tem, że mama ciągle choruje, że niema żadnej poprawy, że Aliosza nie wraca do domu. Chwilami zapominał o zmartwieniu i wydawało mu się, że wszystko dobrze się składa: Aliosza — pod poduszką, w domu, mama — zdrowa, wrogowie ukarani i wtrąceni do piekła... Nabawiwszy się, kładł się Wania spać i spoglądał zawsze z wdzięcznością na „Boże oczko” przed Jezusem Chrystusem... Teraz Wania zaprzyjaźnił się z nim bardzo i co chwila rozmawiał i naradzał się z nim.

— Czy mama wyzdrowieje? tak?

— Wyzdrowieje...

— A Aliosza?

— Przyjedzie.

— Kiedy? Na Wielkanoc? Kiedy Ty zmartwychwstaniesz?

— Na Wielkanoc...

Niekiedy kucharka zastawała Wanię przy takich rozmowach:

— Z kim tutaj rozmawiasz?

— Nie twoja rzecz!

— A pocóż Chrystusa wspominasz? To niedobrze...

— Cóż to ciebie obchodzi? Przecież nie z tobą!

— Bezbożnik!

— A ty głupia! odczep się!

Gdy ciocia dawała Wani ciastko, dzielił je na dwie części: jedną zjadał, drugą zaś kładł na okno, położone najbliżej świętego obrazu.

— To dla Ciebie!.. Jeżeli przez noc nie zjesz, to znaczy, że nie chcesz...

Rankiem, bardzo wcześnie, patrzył Wania z łóżeczka na parapet.

— Nie chce! — szeptał i wyłaził z łóżeczka, aby wiać drugą połowę i zjeść ją, leżąc w łóżku...

Wania wiedział, że Bóg nie je ciastek, nie je objadu i nie pije herbaty, lecz wytrwale zostawiał na oknie połowę łakoci w przekonaniu, że miło jest Je-

zusowi Chrystusowi widzieć, jak Wania go kocha i jaki z niego jest dobry chłopczyk.

Wania miał jeszcze jedną ulubioną zabawę.

Miał dobrą strzelbę, którą dostał od Alioszy na imieniny. Przez długi czas strzelba była zarzucona, teraz zaś odnalazła się: nowa kucharka myła podłogi, przesuwiała meble i wydostała strzelbę z pod komody. Świetna strzelba! Dzięki Bogu, że się znalazła. Z kurkiem, z bagnetem, bardzo głośno strzela kapiszonami, jak prawdziwa. Wania był przekonany, że wówczas w nocy, kiedy pładrowali w jego zabawkach, tamten z wąsami ściągnął strzelbę... Okazuje się, że nie ściągnął. Zresztą, może być, że i ściągnął, ale Jezus Chrystus tak zrobił, że znalazła się pod komodą... No, teraz zobaczymy!..

— Dostyc twej strzelaniny! Ciocia nie każe: mama lęka się..

— No, to będę strzelał tak, bez kapiszonów!..

Wychodziło to na jedno: zamiast wystrzału strzelba było tylko mówić „trach”, — i wróg padał.

— Do kogoż to? Czyżby w ludzi?

— A tobie co do tego? Odejdź, bo inaczej!.. — groził Wania, celując w kucharkę.

— Zbój. Czysty zbój rośnie!

— To dobrze!

— Ech, ty! Zupełnie wdał się w brata! W jego ślady... Szubienicznicy!

— A ty głupia!

VI.

— Ciociu! Ja chcę do mamy!

— Poczekaj... Nie można.

— A kiedy?

— Jak będzie można...

— Czy mamie lepiej?

— Lepiej.

— A dlaczego nie puszczasz mnie do mamy?

— Mama śpi... Nie można jej budzić...

— Ciągłe mówisz: śpi!.. I wczoraj, i dzisiaj... i zawsze...

A w kuchni kucharka rozmawiała z jakąś babą i powiedziała jej, że Wani matka wkrótce umrze...

Wania przycichł. Nie wierzył ani cioci, ani kucharce. Z trwogą w sercu, z wystraszonemi oczyma nasłuchiwał, stając przy drzwiach od kuchni lub przy drzwiach, do pokoju mamy wiodących. W kuchni mówią, że mama nie dożyje do Wielkanocy, a nie można się dowiedzieć, co się dzieje w mamy pokoju...

Cicho tam bardzo. Zegarek tyka, niekiedy chodzi ktoś na palcach, potrząśnie pęcherzem, niekiedy jakby ktoś wzdychał. Mamy głosu nie słysząc, a ciocia mówi szeptem...

Gdyby choć głos mamy usłyszeć!.. Kochana mamusi! Jak on się stęsknił za kochaną mamusią!

— Bóg ją karze... za dzieci!.. Starszy był wyrutek, a i ten też taki: mały, a czysty zbój! Ten Wańka! Nawydawała na świat potworów...

— Nie waż się mnie Wańką nazywać!

— A po co kręcisz się przy drzwiach? Podsluchujesz?

Wania odchodził ode drzwi i cicho snuł się po ciemnym korytarzyku przy mamy pokoju.

Co to? Mama jęczy? Tak!.. Wania przyciskał policzek do zamkniętych drzwi i słuchał, jak mama jęczy. I każdy jęk jej odzywał się w jego sercu, łezki spadały mu z rzes i szeptał płaczkliwie:

— Mamusi, nie jęcz! Mamusi, nie jęcz!

Raz ciocia otworzyła drzwi i potrąciła Wanę.

— Ach, Wania! Pocóż...

— Mamusi! Kochana moja mamusi! Ja chcę do ciebie!

— Chodź, mój drogi!.. — ledwie dosłyszalnie od-

powiedziała mama. Ciocia wzięła Wanę za rękę i weszli. Co się z mamy zrobiło! Chudziutka... Niepodobna do mamy... Wania całował mamę, sam zaś przestraszonymi oczyma patrzył na jej twarz, na białe popękane wargi, na zaostżony nos i przylegające do skroni pasma siwych włosów... Ręce o długich palcach leżały na piersi, na kołdrze, oczy zaś, wielkie i ciemne zapadły i patrzą jak obce, nie mamusi oczy... Mama uśmiechnęła się i zamknęła oczy, a łezki potoczyły się, jedna za drugą... Jedna łezka wisiała długo na siwym włosku i potem zginęła...

— Czy cię co boli?

Mama leciutko skinęła głową...

— Czy na Wielkanoc wyzdrowiejesz?

Mama znowu poruszyła głowę i znowu się uśmiechnęła, nie otwierając mocno zamkniętych oczu.

— Żeby już prędzej ta Wielkanoc przyszła!..

Czy ci, mamusiu, nie wolno mówić?

— Nie wolno, Wania! — szepnęła mama i otworzyła oczy. I w tych oczach było coś straszego, co Wanę przeraziło... Mama długo wpatrywała się w niego, lecz w oczach nie miała tej pieczyoty i dobroci, do której Wania przywykł...

— Aliosza umarł. Niema Alioszy... — szepnęła mama, i zamknęły się znowu wielkie straszne oczy...

Wania zsunął się z łóżka i stał w milczeniu, ze spuszczoną głową...

— Wania! — szepnęła cicho ciocia i wzięła go za ramię.

Wania podniósł oczy na ciocię. Ciocia wskazała drzwi i Wania zrozumiał: cicho, na palcach, wyszedł z pokoju i równie cicho, na palcach, doszedł do dzieciennego pokoju. Widać, na podwórzu mówiono prawdę, że Aliosza nie przyjedzie nigdy... Aliosza nigdy nie przyjedzie... Nigdy!.. I na Wielkanoc nie przyjedzie... Wania podniósł nieśmiało oczy na Jezusa Chrystusa i zaraz je spuścił... Wania po raz pierwszy nie podzielił się z Jezusem Chrystusem swemi myślami o Alioszy... Stał przy ścianie i zdierał kawałki tapet, rzucał je na podłogę i patrzył ponuro na ścianę. Potem raz jeszcze podniósł oczy na Jezusa Chrystusa i, spuściwszy głowę, szepnął:

— I kochać Ciebie nie będę...

Takie było pierwsze nieporozumienie z Jezusem Chrystusem. Tego dnia nie chciał Wania z Nim rozmawiać i nie spoglądał na „Boże oczko”. Lecz czuł je przez cały czas... Tam, u góry, paliła się lampka, błyszcząca złota szata obrazu i dobra twarz Jezusa Chrystusa patrzyła ztamtąd na Wanę, ręka zaś — błogosławiła go... Wszystko było jak dawniej, lecz stało się coś niepojętego i nieoczekiwanego, coś, coby się stać nie mogło, gdyby tam w górze ktoś tego nie chciał... Wania nie chciał patrzeć w tę stronę i z uporem unikał całego tamtego kąta. A gdy się spać położył, przeniósł poduszkę na drugą stronę łóżka.

— Co to, Wania? Po cóż to? — spytała ciocia.

— Tam światło w oczy... przeszkadza spać...

Sięgnawszy ręką pod poduszkę, Wania odszukał fotografię Alioszy i mocno ją ścisnął... Myślał o Alioszy i chciał go sobie odtworzyć. I nie mógł go sobie w żaden sposób przypomnieć: w pamięci, jak żywa, stawała owa noc, kiedy Alioszę wywieźli z domu, i widział ciągle Alioszę, stojącego przy stole, odwróconego do niego plecami i widać było jedynie, jak dwa pasma włosów, oddzieliwszy się, zwiślały koło jego głowy, on zaś je ręką poprawiał... Potem uprzytomnił sobie, jak go Aliosza pocałował, i jak łza Alioszy spadła na niego i połechtwała go koło ucha, i jak, otworzywszy oczy i spojrzawszy na Alioszę, zobaczył tylko plecy jego, które mignęły we drzwiach pokoju. Jaki był Aliosza? Wania wyjmował z pod poduszki fotografię i długo się w nią wpatrywał... Niepodobny tu Aliosza do siebie! Tu gimnazista równo przystrzyżony i wesoły, a Aliosza był niewesoły, chu-

dy student i miał długie włosy. No, wszystko jedno: w każdym razie jest to Aliosza! Wania całował fotografię i znowu wsuwał ją pod poduszkę:

— Śpij, zobaczymy się w raju!

I myślał Wania o tem, jak to jest w raju...

Piekiło wyobrażał sobie doskonale, z rajem zaś jakoś wyobrażenia nie mogła sobie dać rady. Odżywały w pamięci malowane obrazki lasów podzwrotnikowych z Mayn-Ried'a, z Robinsona Kruzoe z romantycznych bajek, ale to nie był raj. Nie, w raju musi być inaczej! Odtwarzał sobie niebieskie niebo, długą ścieżynę białych, jak pianka, obłoczków, po brzeżkach złożonych. Być może tam, w raju, jest taka sama niebieska ziemia i białe ścieżyny, jak wiosną na niebie?.. A jakie tam drzewa?.. kwiaty?.. trawniki?

Kucharka chrapie... Przeszkadza myśleć! Ona napewno nie pójdzie do raju... Taka zła baba, wymyśla, wciąż kłamie... Czyż można takich wpuszczać do raju?.. Tam są sami dobrzy, uprzejmi tacy i mądrzy. Głupca tam nie wpuszczają...

O, Aliosza—jest tam!.. To już napewno! Aliosza był dobry i bardzo mądry! bardzo mądry! Wszystko wiedział Aliosza, o cokolwiek było zapytać... Aliosza był może nawet mędrszy od mamy. Niekiedy pytam mamę, jak wyrabiają szkło, lub jak robią książki, lub o coś innego, a mama odsyła do Alioszy... Naturalnie, Aliosza wszystko wie... I mama jest mądra, jednakże...

— Śpij, Aliosza! Zobaczymy się w raju...

Raz Wania zobaczył we śnie raj. Rano, obudzony się, starał się sobie przypomnieć, jak to jest w raju, lecz nie mógł... Zostało mgliste wspomnienie o czemś jasnym, radosnym, niebieskim i zielonym, złocistym i różowym; grała tam, zdaje się, niezwykła jakaś muzyka, ale być może nie grała wcale, tylko teraz wydaje się, że grała... Zapomniał, nie przypomni już sobie tego całego snu, tego dziwnego snu, po którym teraz jeszcze tak dobrze, dobrze i smutno nieco... Czemu smutno?

Ach, tak, przypomniał sobie! Wania widział w raju zdaleka Alioszę, wołał go, lecz Aliosza był daleko, nie słyszał i nie odwrócił się... A więc Wania znowu nie widział twarzy Alioszy, lecz tylko plecy jego... Aliosza i kto jeszcze?.. razem z nim? Przypomniał sobie! Razem z nim szedł Jezus Chrystus i rozmawiał z Alioszą, jak na obrazku w „Historji Świętej.” Z tego widać, że Jezus Chrystus kocha Alioszę...

Wania spojrział przelotnie na „Boże oczko” i szepnął.

— Kochany Jezusie Chrystusie!.. Spodziewałem się tego!..

VII.

— Wstawaj! Matka umarła..

— Nie kłam!

— Idź zobacz: leży w salonie na stole...

Kucharka wyszła. Wania leżał i bał się poruszyć. Z pod kołdry widać było tylko jego głowę. Patrzył nieruchomo w sufit i słuchał. Znowu stukano drzwiami, chodzono po pokojach, rozlegały się nieznajome głosy. Znowu w pokojach było zamieszanie, jak w ową noc, kiedy wywieźli Alioszę... Wania drgnął kilka razy na dźwięk dzwonek w przedpokoju; dzwonek te po długotrwałej zupełnej ciszy w pokojach wydawały się teraz szczególnie głośne i dziwne, pełne grozy i złowieszczych przepowiedni... A mama? Dlaczego przeszkadzają mamie spać, i ciocia na to pozwala? Kto to chodzi? Wania zakrył głowę i wstrzymał oddech. Niech mu lepiej nic o mamie nie mówią! Nie trzeba nic mówić o mamie!

Ktoś idzie, coraz bliżej, bliżej,—i Wanię coraz większy strach ogarnia. Ot, dotyka ktoś kołdry...

Wania z przerażeniem oczy otworzył: stała ciocia z czerwonymi zapuchniętymi oczami...

— Wstawaj! Trzeba się ubrać...

— A mama?...

— Mama...

— A... mama... żyje?..

— Mama umarła...

Wania obrócił się do góry plecami i ukrył głowę w miękiej poduszce... Ciocia gładziła go pieśczołtliwie po plecach, a on leżał bez ruchu...

— Teraz mamie dobrze: przestała cierpieć...

Wania leżał bez ruchu.

— Teraz zasnęła i nie czuje bólu... Teraz mamie dobrze...

Wania leżał bez ruchu...

— Ubieraj się... Pójdziemy do mamy... Pocałujesz mamę... Dobrze?

Ciocia podłożyła ostrożnie ręce pod Wanię, chcąc go unieść i posadzić na łóżku. Wania trzymał się mocno rękami poduszki i wierzgał nogami... Ciocia westchnęła i usiadła na krześle koło łóżeczka... Ktoś chodził po salonie i potem dało się nagle słyszeć monotonne czytanie, jak w cerkwi...

— Mamie jest teraz bardzo dobrze... Pójdzie do Boga i zobaczy tam Alioszę...

— A ja?—głucho zapytał Wania...

— Bądź mądrym, dobrym chłopczykiem, wtedy...

Wania puścił nagle poduszkę i usiadł. Ocierając pięścią łzy, spojrział na ciocię i szepnął:

— A mama nie pocałowała mnie na pożegnanie. A kiedyż to my się na tamtym świecie zobaczymy!.. Jaka to ta mama!..

Na fotelu leżała nowa kurtka i nowe spodenki— a wszystko to było czarne...

— I ty jesteś cała w czarnem, i ja w czarnem... Jak jacy starszycy...—mówił Wania przy umywalni.

Potem ciocia pomagała się Wani ubierać, lecz on nie pozwalał na to:

— Ja sam!.. A... gdzie... mama?

— W salonie...

Wania śpieszył się. Trzeba iść jaknajprędzej do mamy. Chociaż mama umarła, pewno jednak czeka, żeby Wania przyszedł się przywitać... Z początku zbierało się Wani na płacz, teraz zaś był spokojny i cichy... Zapomniał oczyścić zęby! Trzeba oczyścić dobrze szczoteczką i proszkiem. Mama lubi, żeby zęby błyszczwały... I żeby uszy były czyste!.. Długo cesał się, i układał włosy na czole i gładził ręką, ślina i gładził: stoja, nie chcą słuchać...

— Przedewszystkiem napij się herbaty z mlekiem!

— Nie! Przedtem do mamy!..

Czyściutki, świeży, w nowej kurteczce, z przygładzoną główką, taki cichy i poważny, Wania wszedł nieśmiało do salonu. Mama leży na stole. Koło jej głowy palą się złożone świece w wysokich lichtarzach. Ręce złożone na piersi. Zakonnica stoi przy wysokim stole i coś mamie czyta... Ciocia została wtyle, Wania zaś zbliżył się do mamy.

— Kochana mamusiu!..—szepnął, wspinając się na palce.

— Dzień dobry!

Nie może wspiąć się do mamy twarzy. Wania obejrzał się na ciocię. Ta zbliżyła się, podniosła go, a on pocałował mamę w czółko... Zimne czółko... Oczki mamy są niezupełnie zamknięte; ledwie je widać z pod opuszczonych rzęs... Mama jak gdyby żartuje: oczy zamknęła, a tymczasem patrzy pocichutku...

Wania obszedł mamę wokoło. Zatrzymał się przy mamy nogach. A twarzyczkę miał poważną, jak dorosły...

— No, chodźmy na herbatę! — rzekł cicho, zbliżając się na palcach do cioci; zwróciwszy się do mamy, i kiwnął głową.

Pił herbatę z mlekiem i z bułką — i herbata była tak samo smaczna, jak zawsze. Myślał o mamie, i śmierć mamy nie wydawała mu się teraz straszną, nie przerażała go. Mama leży w salonie, jakby spała... Ot, dopije zaraz słodkiej herbaty i znowu pójdzie do mamy.

Przedtem mama jęczała, a teraz nie cierpi, teraz jej wszystko jedno...

I dopóki mama leżała w salonie, z początku zwyczajnie na stole, później zaś w srebrnej trumnie, — Wania był spokojny. Mama tu, blisko... W nocy wsłuchiwał się w monotonne czytanie zakonnicy i myślał, że mama nie boi się leżeć w salonie, bo nie jest tam sama... Niechaj śpi, rano zaś przyjdzie on znowu do mamy... Myśl jego przenosiła się z mamy na Alioszę: zobaczą się oni już prędko tam, w raju... Nie będą już tęsknili za sobą... Aliosza ucieszy się z mamą, bardzo się ucieszy. Dobrze jest w raju, bardzo dobrze, ale jeszcze lepiej, kiedy się jest tam z mamą.

Mama chciała zapewne jaknajprędzej umrzeć, bo raz powiedziała:

— Nie trzeba doktora... Lepiej prędkiej umrzeć... Wania słyszał to wówczas, kiedy ciocia posyłała pierwszy raz po doktora.

Gdyby Aliosza był w domu, — toby mama nie zachorowała i nie chciałaby jaknajprędzej umrzeć... Naturalnie, chciała... Płakała często po Alioszy. Stęskniła się za nim bardzo.

Mama zobaczy tam Alioszę, zaś Wania, nie zobaczy więcej ani mamy, ani Alioszy... Dopiero w raju... A kiedy to będzie? Nieprędko... I znowu myśl nasuwała Wani tych, którzy zabrali Alioszę... Wszystko przez nich! Przyszli, zabrali Alioszę, i Aliosza umarł... zmartwili biedną mamusię, i mamusia też zachorowała i umarła...

VIII.

Wieczorami, kiedy Wania przychodził przed snem żegnać się z mamusią i wpatrywał się w jej twarz, zdawało mu się, że mama żyje. Rozżarzone świece, z poruszającymi się językami żółtego płomienia, rzucały na twarz nieboszczki drgające cienie i wydawało się wtedy, że mamusia porusza ustami i że na płacz jej się zbiera...

— Dobranoc, mamusiul!.. Jutro znowu przyjdę...

— Pomódl się! — szeptała ciocia Sasza, pochylając się nad chmurną twarzyczką Wani. Wania, nie podnosząc głowy, żegnał się kilka razy i niedosłyszalnie szeptał coś wargami. O co się modlił?..

W dzień pogrzebu, rano, kiedy Wania przyszedł jak zwykle, przywitać się z mamą, — u nóg mamy leżał duży wianek, bardzo ładny wianek z palmowych gałęzi, splecionych barwną wstęgą. Może to przyniósł anioł z nieba, przysłany przez Jezusa Chrystusa?

— Kto to dał mamie?.. nie ty?..

— Co, kochanie?

— Wianek?.. Kto go położył?

— Studenci, koledzy Alioszy...

— Czyż oni kochają naszą mamusię?

— Kochają.

— Studenci?..

Tego ranka na ulicy przed bramą stał czarny karawan ze srebrnymi krzyżami i frendlami, i konie czarne ze sterczącymi uszami, jak zabawki, i woźnice czarni... I było bardzo wielu policjantów. Czego oni chcą? Znowu przyszedł..

Jeden z nich starszy, z czarnymi wąsami, wszedł do pokoju i sprzeczał się długo z ciocią Saszą. Namprzód przymawiali sobie pocichutku, a potem ciocia podeszła i zaczęła zdejmować z mamy wianka barwną wstęgę. Płacze, ale zdejmuje...

— Nie trzeba, ciociu, zdejmować! Nieładnie będzie!..

— Nie pozwalają, kochanie...

— Co im do tego? Nie trzeba!

— Nie można kochanie...

Wania zrozumiał, że to *ten* nie pozwala, *ten* z czarnymi wąsami... „Przeklęty” — szeptał Wania i czuł chęć zrobienia temu, z czarnymi wąsami, jakiejś dużej przykrości...

— Poczekaj no! Jezus Chrystus pokaże ci, co to znaczy mamę obrażać!..

Wania stał w cerkwi przez cały czas z ponurą, poważną twarzą i nie płakał. W odpowiedniej chwili pocałował mamę trzy razy w czołko i niespostrzeżenie szepnął jej coś. Dopiero wtedy, kiedy trumnę mamy przykryli wiekiem i zaczęli zabijać, Wania rozplakał się i krzyknął:

— Mamu! Pocoś umarła?

Źle było pierwszej nocy bez mamusi. Nie mógł Wania zasnąć. Zdawało mu się ciągle, że zakonnica czyta w salonie, lub że mama dochodzi do łóżeczka, żeby Wanię pocałować i podwinąć mu dobrze kołdrę pod nogi. Zdrzemnie się i nagle oczy otwiera. I odrazu przypomina sobie, że mamusi niema w salonie i że nie pójdzie już jutro z nią się witać... I gdy sobie to przypomina, wtula twarz w poduszkę i płacze:

— Mamusiu! Pocoś umarła?!

A z kąta, z góry, spogląda jak dawniej „Boże oczko”...

Wania unosi się na łokciu, zwraca głowę ku płomykowi i, polykając łzy, cichutko mówi z wyrzutem:

— Widzisz, nie kochasz mnie! Aj-aj! Jaki to Ty jesteś!..

Szybko mija czas, — ten czarny ptak ludzkiego życia. Leci, nie zatrzymując się ani w dzień, ani w nocy i unosi z sobą człowieka ku ciemnemu horyzontowi, bez pociągającej tajemniczej głębi, ciemne, nudne, straszne obłoki, wraz z którymi wypełza czarna noc niebytu...

Porwał czarny ptak ojca, porwał matkę, porwał Alioszę...

Kiedy się ma lat piętnaście, całe życie, zda się, jest przed nami i nie widzi się, z jaką szybkością sunie czarny ptak naszego życia. Kiedy się ma lat piętnaście, nie chce się odwracać wstecz i patrzeć, co zostało po za nami...

A ty, chłopcze, czemuś taki ponury, taki zamyślony i śmiejesz się tak rzadko?.. Trzeba być wesołym, czuć radość życia i ufnie otworzyć jasne oczy na spotkanie życia... Trzeba z uśmiechem na różowej twarzy stać u progu życia... Wszak ono tak pięknel..

Wszystko minie, o wszystkim się zapomni, lecz o tych kilku dniach przeżytego życia — nigdy. Nigdy! aż do samej śmierci, wszystko jednoczą śmierć daleka czy bliska... Czyż żelazna ręka wyrwała te dni niezagojonemi ranami w pamięci i w sercu.

Minęło lat dziesięć, całych dziesięć lat... Lecz nie zablizniły się rany serca. Nie zablizniły się! Często, siedząc nad książką późno w noc, zagłębiony cały w obcym życiu stworzonych przez poetę ludzi, Wania odrywa się nagle od czytania. Niby ktoś niewidzialny. dotyka serca jego i prosi je, aby do dawnych wspom-

nień wróciło... Powolne bicie starego ponurego zegara, lampka, paląca się w kącie pod obrazem, ostrożne kroki i szept w drugim pokoju, głośne czytanie za ścianą, senny szczebiot dziecięcy—to może wy wcielacie się w Niewidzialnego, który uderza w serce i bez słów mówi: „przypomnij sobie!“ I nagle budzi się w duszy trwoga i znika wszystko, co stworzył w niej poeta—czarodziej... Znika piękny miraż i zamiast niego powstaje tych kilka dni własnego życia... Z takimi okrutnymi szczegółami!.. Jakby to wszystko było nie przed dziesięcioma laty, lecz przed dniami dziesięcioma... Czemu bicie ponurego zegara przynosi z sobą trumnę, gorejące świece, czarny karawan ze srebrnymi frendlami? Czemu szept i ostrożne kroki w sąsiednim pokoju przyprawiają go o trwożne drżenie i wypełniają duszę poczuciem niepowetowanego nie-szczęścia? Czemu senny szczebiot dziecięcy wskrzesza niebieski pokój, ołowianych żołnierzyków, łóżeczko z siatką, czerwony płomyk i łagodne oblicze Zbawiciela z błogostawiającą ręką?..

Gdy tylko oczy przyrymka, wydaje mu się, że mieszka wciąż w tem samym mieszkaniu z ciemnym korytarzykiem, gdzie są drzwi ze złamaną klamką, słyszy jęk matki, widzi białą jej rękę z długimi, cienkimi, bezsilnymi palcami, widzi plecy Alioszy i widzi, jak Aliosza odrzuca ręką pasma opadających włosów...

I w dręczący sposób bolą rany serca, rany zadane przez czyjąś żelazną rękę i duże łzy padają ciężko na otwartą książkę, która przed chwilą wywoływała uśmiech zachwyty i radości, rzuconych w duszę jego przez duszę innego człowieka...

Wania zrywa się gwałtownie z miejsca, potrząsa głową i długo chodzi tam i napowrót po małym pokoju. Chodzi i oddaje się mękom wspomnień o mamie i o Alioszy, jątrzy coraz bardziej krwią ociekające rany serca... Ze ściany patrzą na Wanę dwa portrety w czarnych ramach, i gdy podnosi ku nim głowę, wydaje mu się, że i one z czarnych ram wpatrują się badawczo w jego oczy... Jakby się domyślały, o czym on myśli, on, ten ponury chłopiec, i jakby już oddawna wiedziały, co musi się kiedyś stać...

— Moi kochani,—szepcze Wania, i w szepcie jego jest tyle słodyczy i smutku osamotnienia, że w portrety życie wstępuje: wydaje się, że i w ich oczach na znak odpowiedzi słabo migocą łagodne blaski... Portrety zrywami się stają...

I wydaje się w zmroku, że dobra twarz Alioszy staje się surową, niemal ostrą, twarz zaś matki odzwierciedla całą głębię przeżytego cierpienia... Cicho płyną gorące łzy Wani, i wciąż patrzy, patrzy na milczące portrety, jakby chciał przeniknąć tajemnicę ich wiecznego milczenia.

Przełożyła J. B.

KRONIKA.

— Szkoły początkowe. Inspektor szkół m. Warszawy zwrócił się do magistratu o wybudowanie odpowiednich domów na pomieszczenie szkół początkowych miejskich. W odpowiedzi magistrat zawiadomił inspektora, że projektu tego poprzeć nie może z dwóch względów: po pierwsze dla braku funduszy, powtórnie, że wkrótce wprowadzony będzie samorząd miejski.

— W W a r s z a w i e w dalszym ciągu odbywają się masowe rewizje i aresztowania.

— W ostatnim numerze czasopisma „Prawo“ umieszczony został artykuł Gruzenberga w sprawie

kary śmierci. Autor dane swoje opiera na sprawozdaniach zarządu sądowo-wojennego z ostatnich lat 34, przyczem nie poruszając działalności sądów polowych ani ekspedycji karnych, rozpatruje jedynie stosowanie kary śmierci przez sądy wojenno-okręgowe.

Otóż, od r. 1875 do 1908 włącznie z wyroków sądów wojenno-okręgowych stracono ogółem 2,678 ludzi, z czego na stan wojskowy przypada 268; zaś na stan cywilny 2,410. Przytem rzeczą wysoce charakterystyczną jest to, że w r. 1908, t. j. w roku uspokojenia, powiada autor, kiedy twierdzono w kołach biurokratycznych, że uspokojenie to nastąpiło—oddano pod sąd wojenny 7016 osób cywilnych. Z pośród nich stracono z wyroków sądów wojennych 1310 ludzi.

W roku tym — stwierdza „Prawo“ — wykonano więcej wyroków śmierci niżli w ciągu wszystkich poprzednich lat 33 i półtora raza tyle, co w ciągu całego okresu rewolucyjnego.

Według gazety „Riecz“ w ciągu 1909 r. w państwie rosyjskiem stracono 630 osób, w tej liczbie żołnierzy 25.

— Stany wyjątkowe. Przedłużono ochronę wzmocnioną w Moskwie, gub. Moskiewskiej, oraz w gradonaczalstwie Mikołajewskim od 16/9 do 1910 roku. Przedłużono do tego samego czasu nadane pełnomocnictwa naczelnikom gubernji: Archangielskiej, Astrachańskiej, Besarabskiej, Włodzimierskiej, Wołogodzkiej, Kazańskiej, Nowogrodzkiej, Ołonieckiej, Oremburskiej, Permskiej, Pskowskiej, Riazańskiej, Smoleńskiej, Twerskiej, Jarosławskiej, oraz obwodów: Turhajskiego, Urałskiego i Dońskiego.

— Zniesienie granicy osiadłości. Do Dumy Państwowej wniesiony został wniosek prawodawczy w sprawie zniesienia granicy osiadłości Żydów, podpisany przez stu kilkudziesięciu posłów. Jako motyw podawano, że istnienie w odnowionej Rosji granicy osiadłości jest nadzwyczajną niesprawiedliwością w stosunku do wielomilionowej ludności żydowskiej, ponoszącej wszystkie ciężary państwowe narówni z innymi odłamami ludności. Granica osiadłości przeczy tendencjom manifestu z d. 30 października, zasadniczym podstawom państwowości, jako też przynosi państwu szkodę natury ekonomicznej, wreszcie utrwała w masach ludności rosyjskiej pojęcie o prawach ucisku całych narodowości, składających państwo. Wniosek podpisany został przez wszystkich prawie członków opozycji (w tej liczbie Koła Polskiego), oraz przez kilkudziesięciu październikowców.

Gazeta „Riecz“ podaje statystykę kar prasowych z miesiąca maja (st. st.). Kar tych było nałożone 21 na sumę rb. 7450. W drodze administracyjnej skazane zostały pisma następujące: „Biełostokskaja Gaz“ rb. 500, „Chersonskaja Gaz“ rb. 500, „Dierewienskaja Gaz.“ rb. 500, „Wozdrożdżenje“ rb. 500, „Siła i Zdrowie“ rb. 300, „Swobodnoje Słowo“ rb. 300, „Baku“ rb. 200, „Jug“ rb. 500, „Pieczatnoje Dielo“ rb. 300, „Swiet“ rb. 300, „Szczutek“ rb. 100, „Utro Rossiji“ rb. 500, „Russkoje Słowo“ rb. 1000, „Riecz“ rb. 500, „Kurjer Poranny“ rb. 50, „Społeczeństwo“ rb. 50, „Rada“ rb. 200, „Sieło“ (dwukrotnie) rb. 500, „Ogni“ (dwukrotnie) rb. 500.

Milanówek,

st. dr. żel. W. W.

Do wynajęcia lokale 1-o, 2 u i 3-y pokojowe z kuchniami i werendami.

Na warunkach przystępnych — całodzienne urzymanie, obiady.

Wiadomość w Administracji „SPOŁECZENSTWA“
ul. Wielka 1-a.

Od Administracji.

Ogłoszenia do

SPOŁECZENSTWA

przyjmuje się

w administracji ul. Wielka № 1-a telef. 97-83.

ul. Krucza „ 12 m. 15 „ 66-01.

ul. Długa „ 9 m. 18 „ 94-01.

Największe powagi lekarskie całego świata polecają
PASTYLKI

GÉRAUDEL'a

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie **chrypkę, katar, kaszel** oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

Cena pudełka 85 kop.

UWAGA. Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwoną etykietę z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo. „Fabian Klingsland. Warszawa”.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!

SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

HERBATA z gór Harcu

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t.p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, grypy, choleryny.

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.

UWAGA: Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JOZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 33a. Telefon 184-44.

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

MACZKA
NESTLÉ
MLECZNA

Idealny pokarm
dla niemowląt
oraz dla osób dorosłych — chorych
na żołądek.

Wolne Słowo

TYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, LITERACKI,
i NAUKOWY

pod redakcją **Leo Belmonta**

Redakcja i administracja **Warszawa. Marszałkowska 77 m. 17**
telefon № 118 98.

Przedpłata z dodatkiem wynosi:

w Warszawie z odnośnieniem, na Prowincji i Cesarstwie
z przesyłką.

kwartalnie rb. 1.75 kop.

półrocznie „ 3.50 „

rocznie „ 6.60 „

Zagraniczni abonenci dopłacają za przesyłkę kwartalnie kop. 15, rocznie kop. 40.

Numer pojedynczy kop. 15 — podwójny kop. 25.

Rocznik „**WOLNEGO SŁOWA**” (52 numery) w Administracji po cenie niższej z przesyłką rb. 5.

„Odrodzenie”

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny

pod kierownictwem **Stefana Gackiego** i przy stałym współpracownictwie **Jerzego Huzarskiego, Izy Moszczeńskiej, Ignacego Radlińskiego, Wincentego Rzymowskiego, Antoniego Szecha i Wincentego Trojanowskiego.**

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		Na prowincji i zagranicą:	
rocznie	rb. 8	rocznie	rb. 10.—
półrocznie	„ 4	półrocznie	„ 5.—
kwartalnie	„ 2	kwartalnie	„ 2.50

Prenumeratę przyjmują administracje i księgarnie.
Adres Redakcji **Trębacka 10** Telefon 144-40